Nr 239 Kraków, Czwartek dnia 17 Października 1895. Rok III

Przedpłata
w Krakowie:
rocznie złr. 16·—
kwartalnie „ 4·—
miesięcznie „ 1·35
Za odnoszenie ct. 20
Na prowincji:
rocznie złr. 20·—
kwartalnie „ 5·—
miesięcznie „ 1·70
Za granicę:
miesięcznie złr. 2·—

Numer zwykły 8 ct.
Niedzielny 10 ct.

GŁOS NARODU

Wychodzi codziennie, z wyjątkiem dni poświątecznych o godzinie 8 rano.

Ogłoszenia
Za wiersz 6 ct. Od wyrazu w drobnych ogłoszeniach $1^1/_2$ ct.
W „Nadesłanem“ wiersz zwykły 20 ct.
Śluby, nekrologi, wiersz 40 ct.
Do działu inseratów upełnomocnieni
St. Cyrankiewicz i Spółka.

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Adres Redakcji: **Kraków, ulica Krupnicza l. 11**

REDAKTOR NACZELNY: **JÓZEF ROGOSZ.**

Adres Administracji: **Kraków, ul. Jagiellońska l. 7.**

Z bieżącej chwili.

Wśród okrzyków i entuzjazmu, z powodu zwycięztw, odniesionych na Madagaskarze, wyłoniła się w Paryżu poważna myśl wytworzenia samoistnej armji kolonjalnej. Paryski dziennik *Temps*, w osobnym dodatku, ogłasza wypracowany projekt owej armji przez Cavaignaca, o którym jużeśmy wspominali. Pisze przytem: „Szczęśliwe zakończenie kampanji madagaskarskiej, nie każe nam jednak zapominać o błędach popełnionych. Przekonaliśmy się już z własnego doświadczenia w Tunisie, Tonkinie, Dahomeju, nawet w Algierze, jak niebezpiecznie jest osłabiać właściwą armję, służącą do obrony kraju, i że system ten kosztuje wiele ofiar i pieniędzy. Rząd zajmuje się projektem, któryby wojskom kolonjalnym nadał pewną autonomję. Planu tego jeszcze nie znamy, ale gotowy projekt Cavaignaca, podlega już dyskusji, gdyż nie ze wszystkiem można go przyjąć. Wyświeca on wszakże niebezpieczeństwa teraźniejszej sytuacji i nieokreślone położenie wojsk morskich. Przewodnią myślą planu Cavaignaca jest: wytworzenie armji kolonjalnej, niezawisłej od dzisiejszego systemu rekrutowania, jak również i w kwestji awansu. Armja kolonjalna ma podlegać ministrowi wojny, ale posiadać będzie niezależnego szefa sztabu“.

Wszystkie kolonjalne arsenały, magazyny i budynki wojskowe, będą złączone i oddane pod jeden zarząd, gdyż przez to oszczędzi się kosztów. Główny punkt projektu Cavaignaca, opiera się na podziale 19 korpusu i przeniesieniu francuskiego żywiołu do ojczyzny.

Przeciwko osłabieniu korpusu algierskiego, protestuje *Temps* i powiada: „Algier pozbawiony odpowiedniej załogi, stanie się celem zabiegów mocarstw nieprzyjacielskich i ciągłem zarzewiem do powstań Arabów algierskich i szczepów, zamieszkałych przy granicy marokańskiej. Korpus 19 składa się z żołnierzy wyćwiczonych w wojnie, i armja francuska skutkiem tego, posiada nawet pewną wyższość nad swoimi sąsiadami, którzy od 25 lat nie prowadzili żadnej kampanji. W Austrji, w Niemczech i we Włoszech, oficerowie nie słyszeli ani jednej kuli świszczącej. Tymczasem Francja posiada ośm pułków dzielnej piechoty morskiej, dobrze już ostrzelanej, przedstawiającej nieoceniony materjał do obrony granicy i powstrzymania pierwszego napadu. Agitacja opiera się głównie na tem, aby żołnierzy francuskich, szczególniej dzieci paryskich, nie narażać więcej na działanie klimatu zabójczego“.

W dalszym ciągu dowiadujemy się z artykułu *Tempsa*, że armja kolonjalna ma liczyć 98.000 żołnierzy, z których 27.000 kolorowych. W Algierze i Tunisie, będzie stał korpus, złożony z 44.000 ludzi, w innych kolonjach siły wyniosą 54.000. Francja zyska nowy korpus z 19.640 żołnierzy, który łatwo można przesunąć na wschodnią granicę. Oszczędności ze zmniejszenia garnizonów w Algierze i Tunisie, wyniosą rocznie przeszło 20 miljonów franków. Wydatki zaś z powodu podniesienia efektywnego stanu wojsk w innych kolonjach, dojdą cyfry 17 miljonów franków. Czysty zysk zawsze więc wyniesie $4^1/_2$ miljona franków.

Jak ostatnie wiadomości donoszą, minister wojny jenerał Zurlinden silnie zaprotestował przeciwko projektowi Cavaignaca, a głównie przeciw rozdzieleniu korpusu algierskiego. Sprawa oprze się tedy o Izby i tam stoczy się walna bitwa, między ministrem wojny a Cavaignacem. Kto odniesie zwycięstwo?

Correspondance de l' Est, z powodu zajść w Trebizondzie utrzymuje, iż powód do rozruchów dali tam Armeńczycy. Dwóch z nich napadło byłego gubernatora Waun Bahri baszę i dowódcę wojskowego. Dali do nich ognia i obydwóch zranili. Prócz tego, dnia 2 października jakiś Armeńczyk zranił żołnierza tureckiego. W kilka dni później, Armeńczycy napadli Turków w dzielnicy Meldani Chakri i mocno ich poturbowali. Skutkiem tego, przyszło do krwawego zajścia, w którem padło na placu 11 Mahometanów i 26 zraniono. Ze strony armeńskiej, zostało 192 zabitych, między nimi 5 kobiet i 19 rannych.

Z Petersburga donoszą do *Pol. Corr.*, że sprawa opuszczenia półwyspu Liao-tong przez Japończyków, została wreszcie załatwioną. Co prawda dotąd tylko ustnie, ale w tych dniach odnośny układ ma być podpisany. Japończycy otrzymają 30 miljonów taelów wynagrodzenia i po wypłacie tej kwoty, pozostawiono im termin trzechmiesięczny, do wycofania swoich garnizonów i materjału wojennego. Rząd chiński przygotował także pierwszą ratę kontrybucji wojennej w wysokości 50 miljonów taelów. Wypłata nastąpi w Londynie przez tamtejszego posła chińskiego, do rąk przedstawiciela Japonji.

Możliwość rozwiązania Izby poselskiej.

Wiedeń d. 15 października.

(List oryginalny Głosu Narodu).

(*δ.*) Gabinet hr. Badeniego, pomimo, że już sprawuje interesy państwa od dwóch tygodni, pozostaje zawsze jeszcze — zasłoniętym obrazem w Sais. O jakiemkolwiek zbliżaniu się prezydenta ministrów do któregokolwiek z stronnictw parlamentarnych ani śladu, a nie można twierdzić, iż, jeźliby to było w ogóle zamiarem kierownika rządu głównego, zbyt dużo pozostaje na to czasu. Wszak za tydzień już ma się zebrać Izba poselska. Więc byłby właściwie ostateczny już czas, gdyby... gdyby istniał rzeczywiście taki zamiar. W tem jednak sęk i to może większy, aniżeli powszechnie przypuszczają.

Nie przeszkadza to atoli wiedeńskim i innym dziennikom rozpisywać się dość szczegółowo o programie nowego gabintu, jakby hr. Badeni, dotychczas zagadka od stóp do głowy, wtajemniczył pół kopy redaktorów i korespondentów w przyszłe arkana swej polityki.

Wszystko to atoli są tylko czcze przypuszczenia, nic więcej.

Żydowskiej prasie było zrazu bardzo markotno, iż pomimo jej i jej stronnictwa czołgania się i zalecania do hr. Badeniego, ten pozostał zimny i bierny, a nawet rządów swoich żadną, najmniejszą nawet represją, lub ostrzejszym jakiem wystąpieniem przeciwko antysemitom nie zaznaczył. Lewica w pełnej paradzie czekała także daremnie na zbliżenie.

Jednak żydzi liczą przedewszystkiem. Otóż, w tej swojej rachubie znajdują pocieszenie. A liczą oni mniej więcej tak: hr. Badeni, dumny pan, szlachcic polski, ufny w pełne zaufanie korony udaje, że nikogo nie potrzebuje. Ale przyjdzie koza do woza. Stanowisko jego ku górze może być jeszcze tak silnem, ale ostatecznie, jako prezydent gabinetu, nawet w tak konstycyjnem państwie jak Austrja, nie będzie on przecież mógł obejść się bez większości. Jakąś większość utworzyć musi. O Młodoczechach na razie nie może być mowy, więc... lewica i t. d.

W tem mniemaniu utwierdza koszerną prasę przeświadczenie, iż hr. Badeni będzie zniewolony utworzyć sobie większość w obecnej Izbie poselskiej ze względu na budżet i swoje główne na razie zadania: przeprowadzenie reformy wyborczej i reformy podatków, a zwłaszcza ze względu na najgłówniejsze zadanie: odnowienie ugody z Węgrami, co w r. 1896 musi być dokonanem.

Bardzo to wszystko pięknie. Ale czy nie można sobie w danych okolicznościach pomyśleć innego zupełnie zwrotu? Bierne stanowisko wobec stronnictw, jakie hr. Badeni zajmuje, ma z pewnością logiczne uzasadnienie. O wskrzeszeniu koalicji nie myśli on, chociażby tylko ze względu na rozkład, w jakim się znajduje lewica. Sprawa czeska jest na razie sprawą przyszłości. Więc cóż? Rozwiązanie obecnej Izby? — A bodajżeż pana! — słyszę w duchu, jak ten i ów p o l i t y k u s woła — a cóż z budżetem, reformą wyborczą, reformą podatków, co z ugodą węgierską? Wszak ta Izba łatwą jest do pozyskania dla ugody. W nowej Izbie będzie opozycja o wiele silniejszą, a więc będzie stawiała skuteczniej żądania wobec Węgrów.

— Właśnie to, łaskawy panie! Wiem bardzo dobrze, iż lewica powie amen na wszystkie żądania Węgrów, że się zgodzi na nienaruszanie dotychczasowego stosunku kwoty 70:30. Pytanie tylko, czy hr. Badeni także stoi na tem stanowisku. Naczelnik gabinetu austrjackiego powinien mieć przedewszystkiem interes państwa swojego na oku, nie to, czego Węgrzy żądają. Powolność obecnej Izby wobec Węgrów może właśnie być wygodniejszym argumentem za rozwiązaniem Izby. Większa opozycja, jakaby panowała prawdopodobnie w nowej Izbie, ułatwiłaby niezawodnie rządowi do zdobycia korzyści dla Austrji. Opozycja zatem w Izbie byłaby rządowi bardzo na rękę. Gdyby rozwiązanie Izby nastąpiło teraz w jesieni, nowa Izba będzie miała także podostatkiem czasu na odnowienie ugody węgierskiej.

— A reforma podatków? Przy rozwiązaniu Izby poszłaby cała dotychczasowa olbrzymia praca parlamentarna całkiem na marne. Reforma podatkowa jest prawie już uchwaloną.

— Gdzie pewność, iż nowy gabinet życzy sobie przeprowadzenia wielce niepopularnej reformy podatków, wedle pomysłów Plenera, a wypracowania Bohma-Bawerka? Dymisja ostatniego, głównego jej twórcy, może owszem być uważaną za przeciwną wskazówkę.

— A budżet?

— Do nowych wyborów wystarczyć może bardzo dobrze prowizorjum.

— Lecz reforma wyborcza?

— Ta może być oktrojowaną i kto wie, czy nie byłoby to najlepszem przecięciem tego węzła gordyjskiego.

Rozwiązanie Izby poselskiej może istotnie stanowić pierwszy punkt programu rządowego.

Żydzi i sprawa żydowska.

Rozkład i reforma w łonie Izraela.

IV.

Żyd cywilizowany mniemał, że gdy będzie bezwyznaniowcem, encyklopedystą, sceptykiem, jak przeciętna inteligencja owego czasu, wówczas przestanie być żydem. Zapomniał tylko, że nawet „oświeceniec“ XVIII w., nawet bluźnierca w rzeczach religji, nie przestał być chrześcijaninem pod innemi względami.

I żyd nie przestał być żydem, mimo pokostu cywilizacji, bo nie forma stanowi człowieka, lecz jego treść. Każda myśl żyda kłóciła się z pojęciami chrześcijanina. Inna etyka, inne cele narodowe i ogólnoludzkie. Tych zasadniczych różnic, nie mogło zatrzeć zewnętrzne do-

stosowanie do zwyczajów i obyczajów ludów germańsko-słowiańskich. Trzeba było nasamprzód naturę żydowską z gruntu przenicować, a tego nie rozumiał przeciętny a oświecony izraelita.

Konieczność takiej reformy przeniknęli tylko marzyciele, pracujący pod wodzą Edwarda Gausa. Chcieli oni dopełnić przewrotu, zapoczątkowanego przez Mendelsohna, lecz zapał ich nie przemógł obojętności współwyznawców. Przeto „rzucili kamieniem na tego upiora“ i oderwali się od wstrętnej im całości.

Dążenia Mendelsohna i Gausa odbiegły właściwie od tradycji żydowskiej. Owym reformatorom szło więcej o uobywatelenie żydów, niż o naprawy samego judaizmu. Byli to mężowie świeccy, którzy pragnęli wykorzenić zasadnicze wady charakteru żydowskiego, utrudniające zbliżenie się do innowierców.

Reformatorem wyznaniowym judaizmu, był Abraham Geiger, urodzony w r. 1810 w Frankfurcie. Syn rabina, został sam rabinem po ukończeniu studjów uniwersyteckich.

W Geigerze żył mimo wiedzy świeckiej, duch starych Talmudystów. On nie pragnął „asymilacji“ z społeczeństwem chrześcijańskiem, jak Gaus i Moser, lecz przeciwnie tryumfu judaizmu nad wiarami innemi. On wierzył w „posłannictwo“ Izraela. Ale judaizm, jeźli ma zwyciężyć, powinien się oczyścić z niepotrzebnych, przestarzałych naleciałości — uczył Geiger. Powinien usunąć formalizm Talmudu, obrzezanie, mnóstwo drobnych, małoważnych przepisów i przyjąć estetyczną część kościoła chrześcijańskiego.

Geiger znalazł między żydami liczniejszych zwolenników od reformatorów świeckich. On to jest właściwym twórcą t. zw. Synagogi reformowanej, z śpiewami w języku miejscowym, z organami i t. d. Za jego wskazówkami założono w Berlinie w r. 1845, nowe Stowarzyszenie *Genossenschaft für Reform in Judenthum*, które przemawiało inaczej, hardziej, niż związek Gausa. „Chcemy wiary, chcemy religji pozytywnej, chcemy judaizmu — pisano w odezwie. — Stoimy silnie przy Starym Zakonie, uznając go za Objawienie Boga, który oświecił ducha naszych przodków. Jesteśmy mocno przekonani, że judaizm jest jedyną wiarą prawdziwą i że stanie się kiedyś wyznaniem całej ludzkości. Lecz szanując Pismo Święte, pragniemy się wyzwolić z pod despotyzmu martwej litery. Nie możemy się już modlić o powrót do Jerozolimy, ani wierzyć w Messyasza i t. d.“

Nie jest to już mowa Gausa. Stara pycha Talmudystów odezwała się w reformatorach żydowskich, w chwili, kiedy poczynająca się emancypacja społeczno-polityczna usuwała obawę pogromów.

Zawsze ten sam objaw. Gdy innowiercy wyciągają rękę do żydów, popuściwszy im cugli, podnosi nienawiść talmudyczna hardą głowę, czy w tej, czy w innej formie. Reforma Geigera zepsuła robotę „oświecenia“. Boć trudno być: Polakiem, Niemcem, Francuzem i t. d., gdy się uważa za coś lepszego od swoich współziomków. Geiger, chociaż wyrzucił z bożnicy cały aparat dawnych obrzędów, pogłębił znów przepaść między judaizmem a chrześcijaństwem. Reforma Geigera, która przyjęła się bardzo prędko w całej Europie, powoławszy wszędzie do życia „Synagogę reformowaną“, nie pozyskała uznania żydów prawowiernych. Dawna zaciekłość Talmudystów hiszpańskich i niderlandskich odżyła teraz w Polsce. Rabi Eliasz z Wilna (1720—1797) zapisał się niezatartemi zgłoskami na kartach walki z żydami cywilizowanymi. Z Wilna szły wielkie teremy na cały świat. Rabinici i Chasydzi wojowali z sobą z taką zaciekłością, że denuncjowali się nawzajem przed władzą innowierczą. Niejeden Chasyd poszedł po rozbiorze Polski na Sybir, jako przestępca polityczny, chociaż nie wiedział nawet co to takiego owe przestępstwo, za które go ukarano.

Program agrarny.

I.

Myszy i osty, kanianka i pędraki, długo stanowiły u nas wyłączny przedmiot agraryjnego ustawodawstwa krajowego i wypełniały kartki *Dziennika ustaw krajowych*. Zdawało się naszym domorosłym agrarjuszom, że po za myszy i chwasty, zakres ustawodawstwa agrarnego nie sięga.

A to tylko zakres ich własnej wiedzy po za te ramy nie sięgał.

Konstytucja przyznała Sejmowi galicyjskiemu prawo wolnego stanowienia w sprawach rolniczych, co mu się podoba. Mógł był dawno przeprowadzić reformę organizacji rolnictwa. Mogliśmy dziś mieć najlepszą ustawę komasacyjną, ustawę o majoratach chłopskich, nowożytną ustawę lasową, polną, tępienia szkodników, mogliśmy stworzyć wielką sieć składów zbożowych z elewatorami na głównych stacjach węzłowych kolei żelaznych, mogliśmy mieć handel zbożem zorganizowany — dlaczego tego nie mamy? Dlaczego daliśmy się innym wyprzedzić? Dlaczego?

Bo nie było u nas wielkiej wiedzy europejskiej, bo nie było ścisłych informacyj o ustawodawstwie rolniczem za granicą, bo nie było zainteresowania się temi sprawami w kołach samych rolników.

Było to ironją Sejmu galicyjskiego, że sprawami rolnictwa w kraju rolniczym najmniej się zajmował. Było to i dla rolników ironją, że inicjatywa w sprawie ustawodawstwa agraryjnego wychodziła nie od rolników. Dość przypomnąć, że ostatnia, najdonioślejsza na tem polu reforma, wprowadzona przez ustawę o podniesieniu chowu bydła, początek swój wzięła z wniosku posła Rutowskiego. Odyssea jaką ten wniosek przechodził, zanim się stał ustawą, jest pouczającą illustracją braku zrozumienia w sferze rolników, nawet interesów własnej skóry. Sprawy rolnicze w Wydziale krajowym doczekały się fachowego kierownictwa dopiero wtedy, kiedy je przydzielono do referatu członka Wydziału krajowego p. Romanowicza. I można z dumą powiedzieć, że dla interesów rolniczych ten jeden nierolnik więcej zdziałał, aniżeli wszyscy rolnicy razem wzięci, którzy przez trzydzieści lat blisko w Wydziale krajowym zasiadali.

Sejm kraju na wskroś rolniczego, powinien był stworzyć chlubne ustawodawstwo rolnicze i być w organizacji rolnictwa wzorem dla innych prowincyj, w których przeważają interesy przemysłu lub handlu. Sejm galicyjski prześcignięty został w tym kierunku przez ustawodawstwa pruskie, szwajcarskie i krajowe ustawodawstwa czeskie i morawskie.

W chwili, kiedy świat europejski przygotowuje się do wielkiej reformy agrarnej, kiedy prof. Zola w Paryżu kwestji tej poświęca wykłady w wyższej Szkole Ekonomji politycznej, kiedy w Anglji ruch na polu agrarnem się wzmaga, kiedy w Niemczech poseł Kanitz wymyśla najrozmaitsze sposoby ratowania rolnictwa, kiedy socjaliści od dwu lat zbierają materjały do poznania tej poplątanej i niełatwej gmatwaniny konkurencji zamorskiej i taryf kolejowych, polityki kredytowej i podatkowej, kiedy na zjeździe wrocławskim odbywa się namiętna walka o socjalistyczny program agrarny, między Schipplem, Kautskym z jednej, a Beblem i Quarkiem z drugiej strony, u nas padł pierwszy głos rolnika-poety, polityka i filozofa, nawołujący rolników do poprawy ich własnego losu.

* * *

W salonach pana Włodzimierza Kozłowskiego we Lwowie, zebrało się kilkanaście osób. Byli to posłowie nowowybrani do Sejmu, którzy dawniej należeli do klubu autonomicznego. Dyskusja była ożywiona, z natury rzeczy poufna. Jedno tylko przemówienie postanowiono ogłosić drukiem. Dzienniki lwowskie przyniosły z wieczorku tego mowę hr. Wojciecha Dzieduszyckiego in ekstenso.

Istotnie przemówienie to hr. Dzieduszyckiego zasługuje na uwagę. Jest to mowa programowa. Miewaliśmy dotychczas programy narodowe, wszystkim stronnictwom w Sejmie działającym wspólne i programy ekonomiczne, co do których zgody nie było. Dziś po raz pierwszy usłyszeliśmy z ust p. Dzieduszyckiego program agrarjuszy. Hasło podźwignięcia rolnictwa jest pięknem hasłem, a program taki jest w dzisiejszym upadku gospodarstwa rolnego bardzo pożądany, jest on przedewszystkiem ratunkiem większej własności, która przechodzi przez ciężką kryzis rolniczą, powinien jednak nie ograniczać się do interesów jednej warstwy ludności, lecz objąć wszelkie kategorje ziemskich posiedzicieli, a przedewszystkiem zająć się chłopem.

Kto dziś wraca z Podola, opowiada najsmutniejsze rzeczy o doli chłopskiej. Z pewnością nie z rozkoszy on sprzedaje „grunt i chudobę“, zabiera dzieci i żonę i emigruje za morze. Ruch jest gwałtowny. Są okolice, w których lud emigruje setkami. Bronić mu tego nie wolno środkami przymusowemi, bo skoro chłop swemu obowiązkowi służby wojskowej zadość uczynił, to musi mu być wolno począć z sobą, co chce. Więc idzie za morze, ginie po drodze, marnieje w Brazylji, ale idzie. Jeżeli tak potrwa jak jest dziś, to z tego będzie nowy kataklizm.

Był więc powód do roztoczenia programu agrarnego, ale równą miarką dla obydwu warstw rozmierzającego.

P. Dzieduszycki domaga się w pierwszym rzędzie pomocy finansowej dla rolnictwa z funduszów publicznych. Sumy to mają być „wielkie“. Trudno. aby się sumy te znalazły w wydatkach przewidzianych budżetem krajowym. Również wykluczonem jest powiększenie podatków krajowych.

„Pozostaje zatem tylko droga, na którą Sejm wszedł, zakładając przed laty Bank krajowy — droga, której się trzyma obecnie, kiedy idzie o budowę nowych kolei, to jest droga gwarancji kapitału, danej samodzielnej instytucji. A ta droga wydaje się tem bardziej konieczną, że istotnie wtedy tylko prace, podjęte około podniesienia naszego rolnictwa, mogą dobre skutki rokować, o ile ich wykonanie będzie powierzonem instytucjom, których rozwój będzie zawisłym od skuteczności podjętej pracy. Zachodzi przytem ta analogja z gwarancją sum, udzieloną przez kraj kolejom, że winniśmy się domagać materjalnej pomocy od państwa. Ekonomiczny stan naszego kraju, największego i najludniejszego w tej połowie monarchji, nie jest dla państwa rzeczą obojętną, a cała Austrja, jako państwo przeważnie rolnicze, powinna mieć baczenie na względzie potrzeby tak silnie teraz zagrożonego stanu rolniczego. Ankieta rolnicza, zwołana przez Radę państwa, nie powinna pozostać bez skutku, a sprawy rolnicze powinny zająć w rozprawach austrjackiego parlamentu, nierównie więcej czasu, niż to dotąd bywało, a istotne zajęcie się praktycznemi potrzebami ludności, może się nawet przyczynić do uspokojenia waśni politycznych. Wszelkie jednak obrady tak parlamentarne, jak i po za parlamentarne, pozostaną bezskutecznemi, jeśli nie doprowadzą do uchwalenia kredytów na rolnictwo, udzielonych Sejmom, mogącym jedynie wiedzieć, jakie są w pojedyńczych krajach najnaglejsze rolników potrzeby“.

P. Dzieduszycki użala się w dalszym ciągu swych uwag, że sprawy rolnicze są rozrzucone dotąd po rozmaitych departamentach Wydziału krajowego (p. Dzieduszycki się myli, sprawy rolnicze są scentralizowane w ręku szefa departamentu II, jedynie tylko sprawy szkoły rolniczej w Dublanach i w Czernichowie oddane są szefowi departamentu I, do którego również cały kierunek meljoracji należy).

P. Dzieduszycki żąda, żeby sprawy rolnicze scentralizowane były w ręku referenta, znającego się zawodowo na rolnictwie, a rozporządzającego odpowiednim administracyjnym personalem. Ma to być tem niezbędniejszem, o ile Sejm spodziewać się winien we wszystkich najważniejszych pracach swoich inicjatywy, wychodzącej od Wydziału krajowego, będącego niejako parlamentarnym krajowym rządem i że tylko taka inicjatywa może zapewnić sprężystą a systematyczną pracę, podjętą około spraw agrarnych. Podobnież winien powstać nowy, nowym kredytem wyposażony, oddział Banku krajowego, mający na celu udzielanie kredytów meljoracyjnych i parcelacyjnych.

Dr Witold Lewicki (Przełom).

Z KRAJU.

Zakopane d. 14 października.

(*List oryginalny Głosu Narodu*).

Dobrą wiadomością chcę się dziś z wami podzielić. Oto kolej do Zakopanego jest już rzeczą całkiem pewną. Hr. Zamoyski, mimo trudności nadzwyczajnych, ukończył d. 11 b. m. szczegółową trasę kolei wąskotorowej z Chabówki do Zakopanego i jeszcze w tym roku przyjdzie do skutku tak koncesja rządowa na piśmie, jak i złożenie towarzystwa tejże kolei, słowem będą załatwione wszelkie formalności, poczem przy znanej energji hr. Zamoyskiego w niedługim już czasie pierwszy pociąg przy świście lokomotywy, stanie u stóp Gewontu. W całym kraju będzie to pierwsza linja wąskotorowa, a zaznaczyć tu jeszcze wypada, że powstaje ona funduszami czysto chrześcijańskiemi, co wiele znaczy.

Z wyboru p. Czarkowskiego — Golejwskiego posłem na Sejm, wszyscy tu są zadowoleni, bo jeźli kto, to ten może naszemu powiatowi oddać wielkie usługi. Zna on tutejsze stosunki wyśmienicie, a że sprawą Morskiego Oka, jako starosta nowo-

tarski swego czasu gorliwie się zajmował, więc miejmy nadzieję, że i teraz o niej nie zapomni.

Z wyjątkiem kilku dni ostatnich, pogodę mieliśmy tu wciąż prześliczną, a d. 9 bm. termometr wskazywał w cieniu 21° C. Stan barometru znaczny, około 700, najniżej bywa 695 i mimo wiatru halnego, który w tym roku wiał dość słabo przez 36 godzin, barometr wcale się nie obniżył.

Kuracjuszów u dra Chramca jest jeszcze około 40, a byłoby ich dwa razy tyle, gdyby nie to, że dyrektor nie przyjmuje w tym roku do swego zakładu, ani ciężko chorych na płuca, ani takich, którym Pan Bóg rozum pomięszał. Są tylko chorzy na nerwy, katary, a tacy nikomu życia nie zatruwają. Życie towarzyskie w zakładzie płynie wesoło. Panny Stamary i Korolewicz wieczorne godziny uprzyjemniają towarzystwu śpiewem melodyjnym, a jak się liczniejsze zbierze grono, rozpoczynają się tańce, które teraz trwają niesłychanie długo, bo aż do 10-ej, gdy przeciwnie w lecie kończyły się zawsze o pół do 10-ej.

Klimatyka krząta się gorliwie i na serjo myśli tak o wodociągach, jak i o oświetleniu elektrycznem.

Przeworsk d. 14 października.

(*List oryginalny Głosu Narodu*).

Jak słusznym i zgodnym z prawdą był list, umieszczony, o ile sobie przypominam, w nrze 208 *Głosu Narodu* co do wyboru p. Władysława Świtalskiego, burmistrzem miasta Przeworska, a jak mijającym się z prawdą było drugie pismo w tej samej sprawie w nrze 206 umieszczone, najlepszym obecnie tego dowodem jest okoliczność, iż Namiestnictwo, po należytem zbadaniu całej sprawy, reskryptem z dnia 3 października 1895 do l. 78585 uznało wybór p. Władysława Świtalskiego burmistrzem m. Przeworska, jako wbrew ustawie przeprowadzony, za nieważny.

Z powodu tak pomyślnie dla miasta rozstrzygniętego węzła gordyjskiego, inteligencja i obywatele dobrze miastu życzący, są z tego faktu niezmiernie zadowoleni i tylko wypada, aby na przyszłych wyborach, które się w krótce odbędą, wyszła z urny wyborczej osoba na urząd burmistrza odpowiednia i godna — i któraby miała zaufanie ogółu. Sytuacja wyborców katolickich jest zbyt trudną, wobec przeważającej liczby radnych żydowskich (12 żydów w Radzie), żywimy atoli nadzieję, że katoliccy wyborcy pójdą z sobą ręka w rękę i jak jeden mąż wystąpią przeciw zachciankom żydowskich radnych i będą się starali przeprowadzić wybór swego kandydata.

PODRÓŻ NA WSCHÓD

Józefa Rogosza.

I.

Przez step. — Odesa. — Na pokładzie „Cara". — Litwin i smorgońskie obwarzanki. — Polak z pod Mińska „mojżeszowego wyznania". — Rozmowa z Murad bejem. — Delfiny. — Nocleg u wrót Bosforu. — Ranek. — Nasze towarzystwo. — Przez Bosfor do Konstantynopola.

...Pociąg błyskawiczny mknie jak strzała, unosząc nas ku Odesie. W wagonie wszyscy się pobudzili. Ten ziewa, ów oczy przeciera, trzeci skarży się, że mu głośne chrapanie sąsiada spać nie dawało. Widoczna to do mnie aluzja, ale ja udaję, że nie słyszę i nie biorę tego do siebie. Otwieram okno. Słońce duże, ale jeszcze blade, wypływa na niebo bez chmur i leje światło na ziemię. Atmosfera sucha, przezroczysta, najdalsze przedmioty widać wyraźnie, jakby się znajdowały tuż przy nas. Jak daleko wzrok sięga, ciągnie się step bezbrzeżny. Nigdzie ani rzeki, ani góry, napróżno szukam miasta lub włości i choć uważnie się rozglądam, nie mogę odkryć nawet drzewa większego. W koło równo, płasko, monotonnie. Ptactwa ani nie widzę, ani go nie słyszę. Wśród tej głuszy minęliśmy kilka wiorst. Nareszcie spostrzegłem lecące dwie wrony i srokę, a za niemi stado wróbli hałaśliwych. Nieomylne to zwiastuny ludzkich siedzib. Wychylam głowę przez okno. Nie zawiodłem się... Oto tam, na polu, stoi domeczek czerwoną blachą pokryty, obok niego budynki gospodarskie, przy nich lokomobila pszenicę młóci, od frontu widać mały ogródek, w nim pełno kwiatów i akacyj. Trochę dalej stoi kilka szałasów, między niemi studnia z wysokim żórawiem, przy nich pasą się stada wołów, koni i baranów. Pociąg przeleciał, domostwa zniknęły i znów nic nie widzisz, krom rozległych łanów dojrzewającej kukurydzy, otoczonych wiencem prosa wysokiego. o kiściach dużych i bujnych, jak strusie pióra na hełmie rycerskim, krom kóp niedawno zżętej pszenicy, które jak gwiazdy niebo, cały step zasiały i samotnych akacyj, co gdzieniegdzie na stepie się kołyszą.

Bogaty to kraj, bardzo bogaty; nie jeden wzdycha do tych pól jak do raju utraconego, ale ja, gdy na nie patrzę, czuję dziwną żałość i prawie trwoga mnie ogarnia. Niezmierzone te płaszczyzny są dla mnie zbyt melancholijne i zaiste tylko olbrzymi talent mógł tu znaleźć nie ową poezję, która roztkliwia, nuży i łamie, lecz tę, co zachwyca, porywa i wzmacnia! Nie wiem jak kogo, ale mnie każda jednostajność męczy i rozstraja. To też ilekroć, wspinając się na szczyty olbrzymów alpejskich, nie widziałem w koło siebie nic, krom skał poszarpanych, śniegów i lodowców, bałem się zawsze, by mnie groźna ta natura nie udusiła w swoim zimnym uścisku. W porównaniu z jej wielkością, byłem atomem i to mnie trwożyło. Nie dziw więc, że i teraz, gdy na ten step patrzę, boję się rozpłynąć w przestrzeni i zniknąć jak wierny Buddy wyznawca. Nie darmo świat pragnie ruchu, rozmaitości, życia!...

II.

W naszym wagonie zrobiło się gwarno. Podróżni, poznawszy się z sobą, przynajmniej ci, co bliżej siebie siedzieli, zaczęli żywo rozprawiać. O czem? O ks. Aleksandrze Battenberskim, który z tronu bułgarskiego zrzucony, dwa dni temu jechał przez te same stepy, do Lwowa się kierując. Co się z nim potem stało, nikt z nas nie wiedział. Dopiero w Odesie spodziewaliśmy się otrzymać o nim bliższe wiadomości.

— Książę Aleksander bardzo mi się podobał— dał się niespodziewanie słyszeć głos z boku. — Jechałem z nim razem do Benderu.

— Doprawdy? — zawołało równocześnie kilka osób, zwracając się do mówiącego.

Ten, co nas tak zdziwił przyjemnie, siedział wygodnie w fotelu rozparty, nogi daleko wyciągnął, palcami bawił się grubym łańcuchem złotym, najlepszej próby, którym był ozdobiony jego brzuszek okrągły, na twarzy o grubych rysach, miał ów wyraz wzgardliwy a typowy, który można oglądać nawet na Mojżeszu Michała Anioła.

— Słowo honoru daję, żem z nim jechał! — powtórzył z naciskiem, jakby z nas ktokolwiek o tem wątpił. — Przypadek chciał, żem się znalazł w tym samym, co on pociągu. Ponieważ miałem przy sobie gazety odeskie, a konduktor, prowadzący pociąg powiedział mi, że książę od wyjazdu z Sofji nie wie, co się w Bułgarji stało, przeto wszedłem do jego przedziału i podałem mu dzienniki. Podziękował mi uprzejmie i prosił mnie siedzieć, lecz jam się od tego wymówił.

— Czemu?

— Bałem się skompromitować — odrzekł, zakładając palce za kamizelkę i głowę w tył przechylając. — Książę zdetronizowany, to jeszcze mniej, niż zwykły człowiek... Kto wie, jak na niego będą w górze patrzeli... Już to prawdę powiedziawszy, cały ten tron bułgarski nie wiele wart. *Ein schlechtes Geschäft!*

Dotąd mówił poprawną francuzczyzną, ostatnie jednak słowa wyrwały mu się po niemiecku. Gdym je usłyszał, powiedziałem sobie w duchu, że nie potrzebuję już pytać ani skąd ten człowiek pochodzi, ani dokąd dąży...

— Odesa! Odesa! zabrzmiał okrzyk w wagonie.

Przyskoczyłem do okna. Wśród gęstej zieleni widzę cerkwie z kopułami, bizantyjskiemi, domy o dachach na pół płaskich, gdzieniegdzie także wille z ornamentyką jakby turecką. Zaleciała mnie woń Wschodu... Nie miałem jednak czasu rozglądać się i dalsze robić spostrzeżenia, gdyż pociąg nagle stanął, poczem podróżni zaczęli się na peron wysypywać. (C. d. n.)

Część urzędowa.

Konkursy. Celem obsadzenia posady pomocnika wóżnych w Sądzie obwodowym w Nowym Sączu z roczną płacą w kwocie 300 złr. w. a., dodatkiem aktywalnym w wysokości 25% tejże płacy i z prawem pobierania munduru urzędowego rozpisuje się konkurs do dnia 15-go listopada 1895 r. Podania wnosić należy do Prezydjum sądu obwodowego w Nowym Sączu.

Rada szkolna okr. w Bohorodczanach ma do obsadzenia kilkanaście posad nauczycielskich.

Jest do obsadzenia posada poczmistrza w Krasnem na dworcu kolei. Płaca 500 złr. dodatek na ekspedytora 300 złr., ryczałt pakunkowy 330, kancelaryjny 120, wolne pomieszkanie. Podania wnosić do 25 b. m.

(*Gazeta lwowska* nr 237.)

FEJLETON.

NADZWYCZAJNE PRZYGODY PANA CHORĄŻYCA.

22 POWIEŚĆ ORYGINALNA

Leonarda Sowińskiego.

(Ciąg dalszy).

Ostatnie słowa Talpy zawierały przymówkę do drapieżnego wyskoku Angioliny względem zalotnej kokonicy.

— Czy pomyślałeś o różnicy wieku pomiędzy nami? — zapytał po chwilowem milczeniu Chorążyc.

— Głupstwo... masz lat mało co więcej nad trzydzieści, a co do urody i zdrowia, nie powinieneś obawiać się współzawodników.

— Możeż być pewnym jej serca?... Temperament i krew południowa odezwą się w niej prędzej, czy później, a to spowodować może obustronne nieszczęście.

— Największem nieszczęściem dla niej byłoby odrzucenie jej ręki przez tego, którego ukochała od pierwszej chwili poznania... Ona uwielbia ciebie, jako wyższą jakąś istotę, a cześć ta, obok miłości, dostateczną będzie rękojmią szczęścia waszego.

Chorążyc jeszcze się wahał.

— Wiem — mówił dalej rozmiłowany w swej jedynaczce ojciec — że powstrzymywać cię mogą względy rodzinne, ale o tobie, jak widać, rodzice już zapomnieli, Angiolina zaś mówi po polsku i po matce jest katoliczką, nie będzie więc obcą w twym domu, gdyby ci go jeszcze oglądać przyszło.

Chorążyc uścisnął serdecznie dłoń jego.

— Wdzięczny ci jestem za dowód zaufania, który mi dajesz — odpowiedział. — Przyjmuję propozycję twoją. Mam w Bogu nadzieję, że zapewnię twej córce szczęście i życie uczciwe. I ja kocham Angiolinę..... kocham ją miłością niemal ojcowską, ale z uczuciem tem łączy się także inne... Jeżeli tylko ona się zgodzi...

— Ona!... — Zaśmiał się Talpa na całe gardło i pospieszył zwiastować córce radosną wiadomość.

Przy pierwszem spotkaniu się z Chorążycem uszczęśliwiona dziewczyna okazała się dziwnie onieśmieloną, ale połysk jej oczu i uśmiech, igrający na ustach najwyraźniej świadczyły o uczuciu, którego doznawała.

Nastąpiła zamiana pierścionków.

Chorążyc na paluszek młodziutkiej narzeczonej włożył ofiarowany mu niegdyś przez matkę, a który przed laty przeznaczał w myśli ukochanej Anusi.

Na wspomnienie uroczej stolnikówny wyrwało mu się z piersi westchnienie i w oku zakręciła się łza, chociaż nie można powiedzieć, ażeby się czuł nieszczęśliwym w tej chwili.

Nie zwlekając, zaraz nazajutrz pojechał do Bukaresztu i w kilka dni powrócił z księdzem katolickim, którego tam znalazł. Pomijając podrzędne formalności, zbyteczne na obczyźnie, poczciwy Trynitarz zgodził się na połączenie młodej pary węzłem dozgonnym.

Chorążyc w czasie ślubu nie mógł się powstrzymać od łez na myśl o rodzicach, których błogosławieństwo nie mogło uświęcić tej uroczystej chwili.

I popłynęło nowo poślubionym życie, pełne uniesień namiętnych i podniet, jakie tylko we krwi południowej wybuchać mogą. Oddawała się im Angiolina z rozkoszą, bliską szału; nie był obojętnym na nie i Chorążyc, który, dzięki wstrzemięźliwej młodości, zachował świeżość i moc, pomimo wieku, w jakim już inni stygnąć zaczynają.

Ale czy był szczęśliwym?

Na zapytanie, to, które nasuwało mu się niekiedy pomimo woli, z początku odpowiadał twierdząco. Każdą chmurę spędzał mu z czoła pocałunek żony, słówko namiętne, pieszczota upajająca. Po upływie jednak kilku miesięcy zaczął postrzegać w uczuciu swojem pewny odcień niepokojący.

Obawę zaczęła w nim budzić nadmierna prozaiczność żony i obojętność jej dla życia bardziej duchownego a szlachetniejszego. Do uczucia tego

dołączyło się może i trochę przesytu. Nadto zaczęło objawiać się w niej jakieś znużenie wschodnie, niewyłączające żądzy nienasyconej.

Nieraz po całych dniach wylegała się na sofie, lub u nóg męża na mięciuchnych kobiercach, niczem niezajęta i o niczem nie myśląca. Rozmowa z nią, inna oprócz miłosnej, stawała się prawie niemożliwą. Bawiły ją zresztą cacka i klejnoty, na które nie żałowała pieniędzy, znajdując przytem upodobanie w plotkach i bredniach żydówek i ormianek, które jej dostarczały rozmaitych towarów.

Mąż gryzł się potajemnie.

— Znajdź sobie jakiekolwiek zajęcie — upominał ją nieraz łagodnie.

— Jakie, naprzykład? — zapytywała sennym głosem.

— Książkę, albo robótkę... gospodarstwo nareszcie.

— Jedyną książką, która mi się podoba, są oczy twoje, najdroższy, a robić mi się nic nie chce.

— Ależ to życie haremowe, nie chrześcijańskie, niegodne kobiety.

— I cóż w niem upatrujesz złego? Chętnie mieszkałabym w haremie, bylebyś ty był sułtanem jego, mój luby.

I z lubieżnym uśmiechem wyciągała ku niemu swoje ramiona, godne Afrodyty.

Talpie wydawało się to wszystko naturalnem, ale Chorążyc cierpiał.

— Nie, to nie polska niewiasta! — uskarżał się nieraz w duchu.

Tak upłynęło lat kilka. Tryb życia całej rodziny nie uległ żadnej zmianie, było ono w zimie osiadłem, w cieplejszych zaś porach roku, od kwietnia, aż do późnej jesieni, jak przedtem koczowniczem.

Angiolina nie wyrywała się ze swojej drzemki nawet wśród gwaru miast wielkich i niechętnie udzielała się towarzystwu, z wyjątkiem kupców i niebezpieczniejszych od nich kupczących strojami i klejnotami. Dziczała też potroszę i odsuwała się od świata cywilizowanego, narażając niejednokrotnie męża na upokorzenie bolesne.

— Nie, to nie Polka... Inną byłaby Stolnikówna, Anusia moja złota! — powtarzał sobie coraz częściej, tonąc w smutnej zadumie.

Przebiegłszy w ciągu trzech lat Bukowinę, część Węgier, Multany i Wołoszczyznę, Talpa wraz z Chorążycem i Angioliną znowu znaleźli się w okolicy Ruszczuku.

O niani nikt ani wspomniał.

XIII.

Tymczasem Ibrahim basza cieszył się zdobyczą swoją, dobrowolnie mu odstąpioną przez Talpę, a przyznać potrzeba, że cieszył się nie bez powodu. Maryorica bowiem, przekonawszy się, że płacz i narzekania na nic się nie przydadzą, pogodziła się z losem i wszystkie usiłowania zwróciła do przypodobania się nowemu panu swojemu. Wytrawne doświadczenie i wyobraźnia skażona, obok upajających wdzięków, posługiwały jej w tym względzie nader skutecznie. Basza rozpływał się w jej ognistych objęciach, nie doznając podobnie wyszukanych rozkoszy na łonie innych odalisek, które mu powszedniały po kilku już chwilach pieszczot niewolniczych. Bardziej go jeszcze pociągała do powabnej Rumunki wesołość jej zaraźliwa i ostry a jowjalny dowcip, w którym czerpał coraz to nowe i wielce urozmaicone zasoby dobrego humoru.

Poważny a nawet surowy dla innych żon i niewolnic, dla Maryoricy był zawsze uśmiechającym się, łaskawym i aż do zbytku hojnym. Skończyło się na tem, że zręczna niania, ujarzmiwszy groźnego pana, zajęła najwydatniejsze miejsce w haremie, stanąwszy w stosunku pani do innych jego mieszkanek, poniżonych do stopnia zwykłych służebnic.

I któżby mógł pomyśleć, że pod tą maską rozpromienionej ulubienicy, kryje się głęboki wstręt do rozmiłowanego w niej baszy, spotęgowany żądzą zemsty nieubłaganej?!... A marzyła o niej bez ustanku, czy to w objęciach starego Ibrahima, czy w lubieżnym tańcu z towarzyszkami, czy w samotnych dumań godzinach.

Upragniona sposobność nastręczyła się jej nareszcie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KRONIKA.

Kraków, 17 października.

Kalendarz kościelny. Dziś, we czwartek, Florentego biskupa i Małgorzaty, jutro św. Łukasza Ewangelisty, pojutrze Piotra z Alkantary wyznawcy.

Kalendarz astronomiczny. Wschód słońca rozpoczyna się dziś o godz. 6 minut 4, zachód przypada o godzinie 4 minut 46; długość dnia godzin 10 minut 42.

Zmiana lunacji: Nów księżyca przypada jutro d. 18 b. m. o godzinie 7 minut 10 rano.

Temperatura rano + 7 C

Kupujcie tylko u chrześcijan!

Pamiętajmy o gimnazjum polskiem w Cieszynie!

Wschód ze swemi pięknościami i namiętnością, a cywilizacją odmienną od naszej, wchodzi dziś na porządek dzienny, ponieważ zaczęły dziać się tam rzeczy, o których nikt nie wie, dokąd one Turcję a z nią Europę zaprowadzą. Sądzimy, że w takiej chwili, ogłoszenie podróży naszego redaktora po Wschodzie, będzie rzeczą na czasie, zwłaszcza, że autor starał się ją tak napisać by zajęła uwagę każdego czytelnika. Podróż odbył on w r. 1886, t. j. wtedy, gdy moskalofile bułgarscy usunęli z tronu ks. Battenberga. Druk tej pracy rozpoczęliśmy już w numerze dzisiejszym.

Ostatnia usługa. Liczny orszak żałobny, złożony z krewnych, przyjaciół i współobywateli, odprowadził wczoraj na miejsce wiecznego spoczynku ś. p. Teofila Micińskiego, ogrodnika i obywatela Półwsia Zwierzynieckiego. Zmarły należał do cechu Włóczków, od włóczni, które niegdyś wyrabiali, i posiadał przywilej tradycyjnego „Konika Zwierzynieckiego“, przechodzący z ojca na syna. Ś. p. Miciński prócz tego uprawiał muzykę i liczył się do najdawniejszych uczniów „Bursy muzycznej“ w Krakowie za czasów ś. p. Gorączkiewicza, oraz był przez dłuższy czas kantorem w katedrze na Wawelu.

Otwarcie archiwów. W dniu 1 bm. w obecności dyrektora archiwów watykańskich, kardynała Galimbertiego, otwarto znów dla cudzoziemców archiwa owe. Przy tej sposobności drugi archiwista, msgr. Wenzel, otrzymał godność domowego prałata Ojca św. Katedrę paleografji, utworzoną przez Leona XIII, powierzono profesorowi Melampo. Poprzednikiem profesora był monsignor Carini, którego nagła śmierć sprawiła tak znaczne wrażenie przed paru miesiącami.

Skazani na śmierć przestępcy, Sobczyk i Arlt, usiłowali w Bytomiu wydobyć się z więzienia. Na korytarzu przyszło do bójki z dozorcami. Ucieczka nie doszła do skutku.

Pani Gabrjela Zapolska przyjechała wczoraj do Krakowa i wystąpi po raz pierwszy w sobotę w miejskim teatrze.

W Czytelni kolejowej odbędzie się przedstawienie amatorskie w sobotę d. 19 października 1895 r. Amatorowie odegrają: „Wujaszek całego świata“, komedję w trzech aktach z niemieckiego, I. Benediksa.

W Kasynie powszechnem odbędzie się w sobotę d. 19 b. m. koncert ze współudziałem pp. Senowskich, pp. amatorek, amatorów i orkiestry 56 pułku, pod osobistem kierownictwem kapelmistrza, p. Heydy. Po koncercie tańce. Stroje spacerowe. Początek o godzinie 8 mej wieczór.

Nadzwyczajne walne zgromadzenie członków „Kółka medyków“ wszechnicy Jag. odbędzie się w sobotę 19 b. m. o godzinie 5 popołudniu we własnym lokalu ul. Kopernika Nr 1. I. p., na które szanownych kolegów członków zaprasza *Zarząd.*

Nowa apteka. Starostwo w Rzeszowie nadało koncesję na otwarcie i prowadzenie trzeciej apteki na przedmieściu "Nowe miasto" p. Józefowi Kołodziejowskiemu, zasłużonemu współpracownikowi w tutejszej aptece „pod koroną“ Śleczkowskiego. Wiadomość ta wywoła szczere zadowolenie w szerokiem kole przyjaciół i znajomych p. Kołodziejowskiego, który w długoletniej sumiennej i gorliwej pracy nader uprzejmem, pełnem taktu postępowaniem umiał sobie zjednać gorące uznanie i sympatję publiczności.

Skon tragiczny. Ubiegłej niedzieli odbył się w Wadowicach pojedynek na pistolety, który skończył się śmiercią kapitana 56 pułku piechoty, Medritzkiego. Strzelał się on z cywilnym. O przebiegu sprawy donoszą szczegóły następujące:

Przyczyna pojedynku była bardzo poważna, a odnosiła się jeszcze do czasów, kiedy kapitan Medritzky był stacjonowany w Wadowicach, jako oficer 56 pułku piechoty, którego bataljon uzupełniający tamże się znajduje. P. Medritzky przeniesiony został następnie w randze kapitana do Krakowa i tam wkrótce zwrócił na siebie uwagę dzielną i piękną postawą; należał on do stałych u Hawełki gości, gdzie znano go z jego brawury. U kobiet cieszył się wielkiem powodzeniem. W piątek jeszcze wieczorem, był, jak zwykle, u Hawełki. W sobotę rano wyjechał do Wadowic, wskutek listu, wzywającego go do rozprawy honorowej. Kapitan Medritzky wybrał pałasze, przeciwnik jego wszakże złożył świadectwo, że bronią tą władać nie może z powodu cierpienia reumatycznego w ręce. Świadkowie uznali prawdziwość tego szczegółu, a wskutek tego kapitan Medritzky wybrał pistolety: meta 20 kroków, strzały miały być wymieniane dopóty, dopóki jeden z zapaśników będzie mógł władać bronią. Dzień pojedynku oznaczono na niedzielę rano. Ten ranek był w Wadowicach niesłychanie ponury; okoliczne góry i lasy pokryte mgłami, widnokrąg okryty chmurami, jakby całunem, deszcz ulewny padał przy silnym wichrze bez ustanku. Obaj zapaśnicy stanęli spokojnie na mecie. Kapitan Medritzky strzelił pierwszy; kula tuż przeleciała około głowy jego przeciwnika. Teraz on podniósł rękę i pociągnął za języczek. Los skierował kulę w piersi kapitana Medritzky'ego. Przeszyła mu ona płuca i spowodowała zgon“.

Sejmik relacyjny. Dnia 13 b. m. stawał przed wyborcami w Samborze dr Gustaw Roszkowski, poseł do Rady państwa z miast Sambor-Stryj-Drohobycz i zdawał sprawę ze swoich czynności poselskich za czas pięcioletni. W obszernej mowie wyłuszczył przed licznie zgromadzoną publicznością działalność swoją, jakoteż stanowisko rządu i różnych stronnictw parlamentarnych, a szczególnie stanowisko Koła polskiego. Na interpelacje, stawiane przez wyborców, odpowiedział poseł szczegółowo. W końcu, na wniosek jednego z wyborców, podziękowano panu posłowi za dotychczasową działalność i udzielono mu wotum zaufania. Sejmik ten trwał przeszło godzinę.

Przywilej. Ministerstwo handlu udzieliło Juljuszowi Aleksandrowi w Załubińczu, wyłącznego przywileju na rozsypywacz do sztucznych nawozów.

Ofiarą nieszczęśliwego wypadku padł we Lwowie właściciel fabryki powozów, p. Jan Lickendorf, ojciec lekarza lwowskiego, dra Ignacego Lickendorfa. Dla ułatwienia transportu wyrobów swoich z pracowni, mieszczącej się na pierwszem piętrze, kazał rozebrać część galerji żelaznej, aby przez otwór w ten sposób utworzony mogła służba spuszczać ciężary wprost na wozy. Wczoraj wieczorem, idąc przez galerję, zapomniał o tym otworze, runął na bruk podwórza i potłukł się tak silnie, iż mimo szybkiej pomocy lekarskiej, onegdaj rano zakończył życie.

Stypendjum Towarzystwa wzajemnej pomocy oficjalistów prywatnych z fundacji im. Antoniego Rogala Zawadzkiego o rocznych 80 złr., zawakowało i jest do nadania, począwszy od roku szkolnego 1895/6. O stypendjum ubiegać się mogą uczniowie szkół publicznych, synowie oficjalistów prywatnych, wnosząc najpóźniej do dnia 15 listopada b. r. podania do Wydziału krajowego we Lwowie za pośrednictwem Dyrekcji zakładów, do których na naukę uczęszczają. Synowie członków krajowego Towarzystwa wzajemnej pomocy oficjalistów prywatnych, pomiędzy tymi, sieroty mają pierwszeństwo przed innymi. Bliższe szczegóły zawierają ogłoszenia konkursu, porozlepiane w szkołach.

Królewski zamek w Żółkwi, dawna rezydencja Żółkiewskich, Sobieskich, Radziwiłłów, zostanie z gruntu odrestaurowany. Sprawą tą zajęła się energicznie obecna reprezentacja m. Żółkwi z burmistrzem swoim p. Rozwadowskim na czele, a restauracja ma być przeprowadzona na wielką skalę. Nie ulega wątpliwości, że Sejm na ten piękny cel, nie odmówi wydatnego poparcia, a zapewne i rząd przyczyni się stosowną subwencją do odnowienia tego cennego zabytku historycznego, tem bardziej, że jest w posiadaniu jednej części zamku, w której obecnie mieści się starostwo. Odnowienie odbywa się za aprobatą konserwatora zabytków historycznych.

Cholera. W ostatnich trzech dniach zachorowały na cholerę: W Radziechowie, w powiecie kamioneckim, dwie osoby, z których jedna zmarła, a jedna pozostaje w leczeniu. W Byszowie, powiatu sokalskiego, prócz pozostałych zachorowały dwie

osoby, jedna wyzdrowiała, pozostają w leczeniu trzy osoby. W Tarnopolu zachorowała jedna osoba pozostająca dotąd w leczeniu. W powiecie trembowelskim: w Budzanowie zachorowała jedna osoba, która umarła; w Janowie zachorowały dwie osoby, z których jedna umarła, a jedna pozostaje w leczeniu; w Ruzdwianach zachorowała jedna osoba, pozostająca w leczeniu; w Strusowie prócz pozostałej jednej, zachorowały dwie osoby, jedna umarła, a dwie pozostają w leczeniu; nadto w Warwaryńcach pozostają również dwie osoby w leczeniu.

Emigracja galicyjska. Liczba emigrantów z Galicji, przybyłych w tym roku do Parany, doszła już według wykazów statystycznych, przez rząd brazylijski prowadzonych, do cyfry 2.551 głów.

Wybory. Wschodnio-galicyjski centralny komitet wyborczy zatwierdził kandydaturę p. Kornela Horodyskiego na posła do Rady państwa z okręgu wyborczego mniejszych posiadłości Buczacz-Czortków i Pawła Tyszkowskiego z okręgu wyborczego mniejszych posiadłości Przemyśl-Dobromil-Mościska i wzywa wyborców, aby swoje głosy na tych kandydatów oddali.

W sprawie morderstwa na wachmistrzu Dioszegim ogłasza *Kurjer Przemyski* w ostatnim numerze sensacyjną wiadomość. Oto pisze: „Wyrok, wydany na sprawców morderstwa, popełnionego przez huzarów na wachmistrzu Dioszegim, jest surowszym od podanego przez nas pierwotnie. Zasądzono 15 huzarów i wszystkich na karę śmierci; dziewięciu przez powieszenie, sześciu przez rozstrzelanie, tak nam dzisiaj ze źródła wiarogodnego doniesiono. Urzędownie nic nie jest wiadomem, ponieważ wyrok otacza tajemnica; nie wolno przed prawomocnością wyjawić wyroku, ani audytorowi, ani członkom trybunału. Tę smutną wiadomość podajemy z zastrzeżeniem, jako bardzo a bardzo do prawdy zbliżoną pogłoskę".

Znalazł swój swego. Henryka Meller, szynkarka przy placu św. Łazarza we Lwowie, oskarżyła swą kucharkę, Ludwikę Malec, o kradzież podając, że od dłuższego czasu ginęły jej z komody różne kwoty pieniężne. Wysłany ajent policyjny, Baziuk, nie znalazł u Ludwiki Malec niczego, coby podejrzenie potwierdzić mogło, dowiedział się jednak, że Mellerowa otrzymywała od swej służącej ustawicznie podarunki i to w meblach, szkle, porcelanie, a liczba otrzymanych rzeczy starczy na umeblowanie trzech pokoi. Malec tłómaczy się, że prezenty, które zwoziła Mellerowej, otrzymywała od swoich kochanków i nawet adresy ich podawała.

Dalsze śledztwo wykazało jednak, że pod podanemi adresami nikt tego nazwiska nie mieszkał nigdy, lecz że Malec prezenta owe kupowała po sklepach. Rzecz się wyjaśniła, że sprytna Malec okradała swą chlebodawczynię, a dla odwrócenia od siebie podejrzenia, robiła jej kosztowne prezenta. Mellerowa zaś, mając tak „uwielbianą" kucharkę, przyjmowała od niej prezenta w przekonaniu, że robi dobry interes, przyjaźniąc się z swą kucharką i obdarzała ją bezgranicznem zaufaniem, z czego sprytna złodziejka umiała dobrze korzystać. Ludwikę Malec aresztowano, „prezenta" pozostawiono w posiadaniu Mellerowej.

Z Tarnopola piszą: Na mocy ustawy z roku 1885, urządzony został przy klasowej szkole ludowej w Nastasowie dopełniający kurs rolniczy, mający na celu przez udzielenie najgłówniejszych wiadomości teoretycznych i praktycznych z nauki gospodarstwa wiejskiego, przygotować młodzież wiejską do przyszłego zawodu rolniczego. Uczniów zapisanych 44.

Dnia 10 b. m. odbyło się uroczyste otwarcie tego kursu w obecności p. Djonizego Zawadzkiego, radcy Namiestnictwa, p. Bronisława Chmurowicza, inspektora szkolnego okręgowego, zaproszonych gości, reprezentantów gmin okolicznych: Mikuliniec, Denysowa, Kupczyniec, Nastawa i wielu innych włościan. Po odprawionych solennie nabożeństwach w kościele i cerkwi miejscowej, zebrali się uczestnicy w jednej z sal budynku szkolnego. Sala, jak i budynek szkolny o 3 salach naukowych, były pięknie udekorowane.

W pięknem przemówieniu, podniósł pan radca Djonizy Zawadzki, że obyczajem pobożnych przodków naszych, rozpoczęto dzieło od wezwania Boskiej pomocy, rozwinął cel i znaczenie kursu, podniósł ofiarność wydziału powiatowego, który zobowiązał się dostarczyć dla szkoły 5 morgów ziemi dla celów demonstracyjnych, ofiarność i życzliwość gminy i zakończył okrzykiem na cześć monarchy.

P. Chmurowicz, inspektor okręgowy szkół ludowych, przemawiał do młodzieży, zachęcając do korzystania z nauk i powierzył ją kierownikowi kursu. Przemawiali następnie: ks. Piotr Piskorski, miejscowy probosz rzym. kat. i przewodniczący Rady szkolnej, ks. Eustachy Curkowski, gr. kat. proboszcz, Jan Rogalski, kierownik kursu i t. d. Pięknem było przemówienie Jana Rakoczego, naczelnika gminy, który zaznaczył, że gmina uznaje doniosłość kursu i że dołoży starań, aby kurs ten mógł należycie rozwinąć się, poczem wyraził wdzięczność p. Djonizemu Zawadzkiemu, za przyprowadzenie do skutku otwarcia kursu.

Morderstwo w Studzieńcu pod Witkowem. W piątek wieczorem przybyło 3 rosyjskich żołnierzy do gościńca pani Wawrzynkiewiczowej i żądali pół litra wódki. Ponieważ właścicielka już spała, a jej służąca znajdowała się w kuchni, obsługiwała owych żołnierzy córka. Po wypiciu zażądali jeszcze 6 litrów wódki dla zabrania z sobą. Podczas, kiedy córka była zajętą nalewaniem wódki we flaszki, udał się jeden z żołnierzy do kuchni, drugi do śpiącej właścicielki i obaj dali kilka strzałów. Wkrótce obie kobiety nie żyły. Na krzyk matki i służącej wypadła córka z lokalu, ale w tejże chwili otrzymała strzał, który ją powalił na ziemię. Mordercy zrabowali wszystkie szafy i zabrali znalezione pieniądze w ilości 100 marek, poczem uciekli. Wedle najnowszych doniesień zostali wszyscy trzej ujęci.

Katastrofa makaronów. Z Neapolu przychodzi następująca sensacyjna wiadomość:

Od tygodnia już Neapolitanie przestali jadać makarony. Przekupnie uliczni, tej, od wieków uprzywilejowanej potrawy, ujrzeli się w konieczności zamknięcia swych sklepików, lub rzucenia się na wytwór innych przysmaków, jak polenty, kartofli pieczonych, zup i t. p. Lecz i na stołach rodzin mieszczańskich, zarówno, jak i arystokratycznych, gdzie makaron dotąd stanowił nieuniknioną potrawę, znikł on zupełnie ze stołu. Co najwyżej nieliczni Anglicy lub Niemcy w hotelach, nieświadomi dotąd tajemnicy neapolitańskiego wyrobu makaronu, raczą się jeszcze straszliwą tą potrawą. Lecz z rzadkich tych cudzoziemców wytwórcy i handlarze makaronu, żyć naturalnie nie są wstanie, po ubytku półmiljonowego przeszło stałego kontyngensu miejscowych konsumentów. Jakiż jednak powód tej nagłej odrazy Neapolitańczyków do odwiecznej, ulubionej i tak protegowanej potrawy?

Krótka to, lecz niekoniecznie apetyczna i niemal straszliwa historja. Otóż, od pewnego czasu policja neapolitańska zwróciła uwagę na olbrzymią ilość kości, sprowadzanych przez niektórych fabrykantów makaronu. Rozpoczęte w najściślejszej tajemnicy śledztwo, wrzekomo miało ujawnić, iż w powyższych fabrykach proszkowano kości i dodawano do ciasta makaronowego, co miało mu nadawać szczególnie przyjemny smak. Co jednak w tem wszystkiem najgorsze to, że w Neapolu przysięgają na to, iż owe kości pochodziły z katakumb miejscowych, czyli jednem słowem, były to kości ludzkie. Jeżeli rzeczywiście w tej pogłosce tkwiło nieco prawdy, wstręt Neapolitańczyków do makaronu byłby usprawiedliwiony.

Tajemnicza sprawa. W Bourges, dawnej stolicy książąt Borry, niedługo rozegra się przed sądem przysięgłych proces, który niewątpliwie wszędzie, gdzie tylko ludzie czytują dzienniki, wzbudzi niesłychane zaciekawienie, proces w całem tego słowa znaczeniu sensacyjny, jakiego kroniki sądowe dawno nie notowały. — Wszystko, co czyni proces głośnym, łączy się w procesie wytoczonym margrabinemu de Nayve.

W Sidévilles. w departamencie Cher, mieszkał przed laty notarjusz Massé de Baudronille, człowiek bogaty, ale, o ile się zdaje, dziwak i skąpiec. Pochodził z rodziny staroszlacheckiej, z ojca na syna poświęcającej się prawnictwu, powszechnie szanowanej, choć nie bardzo lubianej.

Notarjusz miał córkę, urodzoną w r. 1858, którą wbrew zwyczajom panującym w jego sferze, wychowywał nie przy pomocy guwernantek, ani w pensjonacie klasztornym, lecz w szkółce wiejskiej, gdzie dziewczęta i chłopcy obcują z sobą w zbytniem często zbliżeniu. Gdy Blanche de Baudronille liczyła lat piętnaście, mogła już oświadczyć ojcu, że musi wyjść za pewnego młodzieńca.

Notarjusz w pierwszej chwili, chciał córkę wydać za tego chłopca wiejskiego, zdaje się jednak, że zwołana umyślnie rada familijna, uważając ten związek za zbytni mezaljans, uradziła co innego. Za pomocą pośrednika małżeństw, z sąsiedniego miasta prowincjonalnego, zaczęto szukać dla panny Blanche męża. Pośrednik znalazł wkrótce męża, który gotów był za dobry posag przymknąć oko na pewne małżonki swej braki, a przytem według życzenia, pochodził z dobrej rodziny.

Margrabia de Nayve był synem oficera marynarki, młodym, przystojnym, gorącej krwi i potrzebującym pieniędzy. Niewiele myśląc, podpisał kontrakt przedłożony mu przez pośrednika. Został mężem szesnastoletniej wówczas Blanche, silnie zbudowanej, krępej, rudawej panny, nie bardzo pięknej, o twarzy angielskiej, pokrytej nieco piegami.

Młoda małżonka wniosła mężowi oprócz przyzwoitego posagu, jeszcze maleńkiego chłopczyka, którego przy chrzcie św. nazwano Hipolitem Menalde. Dzięki zasobnej kasie teścia, młode małżeństwo żyło w świetnych warunkach materjalnych. Margrabia de Nayve kupił w ślicznej miejscowości doliny Loiry stary zamek de Presles, który odnowiwszy, uczynił swą rezydencją. Wkrótce wybrano go merem pobliskiej wioski. Jedno tylko było ciemną chmurą na tem jasnem niebie: po przyjeździe złożono sąsiadom wizyty, lecz nikt niestety margrabiowstwu wizyty nie oddał!

Pożycie małżeńskie margrabiego i margrabiny zaczęło się tymczasem psuć coraz bardziej. Mimo kilkorga dzieci, które im niebo zesłało, mąż z żoną żyli w wiecznej rozterce. Na jednym tylko punkcie zgadzali się oboje, na punkcie Hipolita Menalde. Obojgu zdawał się być przyczyną niesnasek i jako potomek, niemającego pretensji do szlachectwa wieśniaka, niegodnym przebywania w rycerskich murach zamczyska. Wysłano go na pensję do Orleanu, następnie do Sabaudji, gdzie się wychowywał u zakonników. Hipolit miał zostać księdzem, by odkupić błąd matki. Zdaje się jednak, że Hipolit musiał mieć w sobie coś z krnąbrnej, zaciętej natury ojca-wieśniaka, bo kiedy koledzy zaczęli mu wytykać jego pochodzenie, pytając, dlaczego w nagłówkach listów pisze: „drodzy dobroczyńcy", a nie „rodzice", dwa razy uciekał z zakładu wychowawczego. Oba razy go schwytano.

W listopadzie r. 1884 zrobił margrabia wycieczkę do Włoch i co, wobec powyższego, dziwne, wziął z sobą Hipolita. Pojechali przez Turyn, Genuę, Florencję do Neapolu, skąd wyruszyli do Sorrento. Tu zatrzymano się dni kilka i wrócić do domu

Znane są w Sorrento piękne spacery po skałach nad zatoką Neapolitańską. Margrabia chodził tam często z Hipolitem. Pewnego jednak dnia wrócił ze spaceru sam do hotelu, kazał podać sobie rachunek, zapłacił, zapakował rzeczy i wyjechał. Po pewnym czasie fale morskie wyrzuciły na brzeg jakieś zwłoki. Ludzie z hotelu poznali w nich Hipolita, którego doskonale pamiętali. Zawiadomiono władze sądowe neapolitańskie. Wdrożono śledztwo, które jednak wkrótce, dla braku poszlak zbrodni, umorzono.

Margrabia tymczasem wrócił do domu i opowiedział żonie, że gdy raz wyszedł z Hipolitem na przechadzkę po skałach i zmuszony był odejść na chwilę od niego, chłopiec pośliznął się i spadł ze skały w morze. Margrabina uwierzyła na pozór mężowi.

Tymczasem życie w zamku de Presles stawało się coraz nieznośniejszem. Margrabia był wciąż zły i rozdrażniony, margrabina oddała się dewocji. Kiedy mąż teraz opowiadał o śmierci Hipolita, a śmierć tę przypominał coraz częściej, słuchała jego wynurzeń z wielką uwagą i kazała słuchać ich obu synom, z których starszy liczy lat 16.

W lecie r. 1894 margrabia wyjechał do Szwajcarji. Podczas jego nieobecności, margrabina oskarżyła go przed władzami sądowemi o zabójstwo Hipolita. D. 14 lipca 1894 r., w chwili swego powrotu do kraju, margrabia został aresztowany i dotychczas siedzi w więzieniu śledczem.

Sąd, w pierwszej chwili, przyjął za powód zabójstwa, chciwość. Hipolitowi bowiem po babce przypadało 60,000 franków, które w razie jego śmierci przechodziły na rodziców. Przypuszczenie to jednak wkrótce upadło, stosunki bowiem pieniężne margrabiego są takie, że suma powyższa roli żadnej grać nie może.

Margrabia liczy obecnie 55 lat wieku. Trzeba nadmienić, że młodszy syn trzymający do ostatniej chwili stronę matki, stanął obecnie po stronie ojca i broni go swemi zeznaniami. Proces potrwa zapewne około tygodnia. Do sprawy powołano stu świadków. Najlepsi prawnicy bronią margrabiego patrzącego podobno spokojnie w przyszłość. Margrabina tymczasem, obecnie 38-letnia korpulentna kobieta, jak zawsze, oddana dewocji.

Sąd będzie miał trudne zadanie zbadać: czy zbrodnia to była, czy wypadek i jakie wpływy zmusiły margrabinę do oskarżenia męża.

Repertoar teatru miejskiego. Dziś, we we czwartek dnia 17 b. m. „Pan Benet“, komedja w 1 akcie wierszem, Al. hr. Fredry syna i „Zięć pana Poirier“, komedja w 3 aktach z francuskiego. W piątek dnia 18 b. m. „Zbójcy“, tragedja w 5 aktach, Fryderyka Szyllera, (przedstawienie popularne). W sobotę dnia 19 b. m. „Sapho“, sztuka w 5 aktach Alfonsa Daudeta z francuskiego (nowość) pierwszy występ pani Gabrieli Zapolskiej. W niedzielę dnia 20 b. m. „Sapho“ po raz drugi i drugi występ p. G. Zapolskiej.

Na Wawel. Dnia 8 października 1895 r. odbyło się w domu p. Ulanowskiej 33-cie ogólne rozbicie puszek składkowych na odnowienie Wawelu t. j. Katedry i zamku królewskiego. Puszki przyniosły i nadesłały następujące osoby: panie prof. Brzezińska, Hildowa, Jakóbkówna, Janikowska, Kaden, Kasparek, prof. Karlińska, Kleczyńska, Kniaziołucka, Kosydarska Ada, Krzyżanowska, prof. Leo, Mater, May, Olszewska, Pietraszkiewicz, Różycka, Rychłowska, hr. Józefa Szembekowa, Schöpfowa, Wacławowiczowa Stanisława; pp. Aleksandrowicz, prof. Cyfrowicz, dr Dadlez, prof. Jordan, dr Matuszewski, Münich, Rotter, Seweryn, prof. Ulanowski; włościanin z Bochni za pośrednictwem p. Bardla; apteki, cukiernie, księgarnie, handle, sklepy, i rozmaite instytucje. (D. c. n.)

Nekrologja. Anna z Makarych Malek, obywatelka m. Podgórza, lat 27, zmarła w Podgórzu 14 b. m.

Teofil Miciński obywatel Półwsia Zwierzyniec, lat 69, zmarł w Zwierzyńcu 14 b. m.

Andrzej Gasiński, obywatel m. Krakowa, lat 75, zmarł w Krakowie 14 b m.

Brat Stanisław Kałuziński, furtjan klasztoru OO. Franciszkanów w Krakowie, lat 66 a 40 w zakonie, zmarł w Krakowie 13 b. m.

Marja Reymann wdowa po nadkonduktorze kolei Karola Ludwika, lat 52, zmarła w Krakowie 14 b. m.

Z notatek myśliwego.

(Dokończenie)

— A jeżeli zwrócą się w naszą stronę?

— To najmniej prawdopodobne. Pierwszy ruch przestraszonego zwierza jest zawsze w stronę, z której przybyły.

Znowu spojrzeliśmy po sobie, ale nieprzyjaciel zbliżał się coraz bardziej i ucieczka była niemożebną. Zostać na miejscu było także oczywistem narażeniem się na zgubę. Zgodziliśmy się więc na propozycję pana Morin i na dany znak dziewięć strzelb i dwa rewolwery huknęły razem.

Słonie podniosły głowy i przerwały zabawę. Za chwilę zaczęły się skupiać i jakby naradzać między sobą.

Kilka minut śmiertelnej trwogi przeszło, w których najodważniejsze serce biło gwałtownie. Na dzielnych twarzach moich towarzyszy, widziałem śmiertelną bladość. Miss Poles ściskała kurczowo ramię pana Delange. Najmniej może była zmięszaną pani Guéran. Naraz, jeden ze słoni najstarszy może, zwrócił się w stronę, którą przyszły i spiesznym krokiem podążył w zarośla. Za nim ruszyła cała gromada, prócz dwóch słoni, które zdawały się nie podzielać zdania towarzyszy. Może już były obyte ze strzałami, może się już spotkały w życiu z myśliwymi, poprzysięgając im zemstę, gdyż nie tylko nie podążyły w ślad towarzyszy, lecz rzuciwszy wzrokiem na wszystkie strony, ruszyły wprost w stronę myśliwych. Dziewięć luf znowu skierowało się w stronę nieprzyjaciela czekając, aż się im ukaże z za krzaków. Były to dwa wspaniałe słonie, mające najmniej 10 stóp wysokości, uzbrojone w potężne kły. Zbliżywszy się na jakie sto kroków, zatrzymały się przy ogromnej mimozie. Tu podniosły swe trąby do góry, starając się niemi dosięgnąć gałęzi. Ale mimoza miała przeszło trzydzieści stóp wysokości, gałęzie zaś zaczynały się rozrastać dopiero gdzieś u wierzchołka. Ryk gniewu wydobył się z paszczy słoni, a równocześnie odpowiedział mu krzyk Murzyna, którego słonie zwietrzyły na drzewie. Z pomiędzy uciekających jeden wdrapał się na drzewo. Tam nie mogąc go dostać, słonie zaczęły manipulację jedną z najciekawszych, o której pisał już także sławny ich pogromca Juljan Poncet. Jeden z nich ukląkł pod drzewem, a zarywszy kły w ziemię pomiędzy korzenie, podważył je w górę, drugi objąwszy je trąbą i wolno przyciągał do siebie. Operacja ta szła raźno i widzieliśmy, że za małą chwilę drzewo runie, a siedzący na nim człowiek, choćby uniknął śmierci ze spadającem drzewem, narażłby się tylko na stokroć gorsze konanie w uściskach słonia. Nie mogliśmy więc pozostać bezczynni w obec oczywistej śmierci jednego z naszych. Na komendę posłaliśmy dziewięć kul naraz w stronę nieprzyjaciela. Ryk przeraźliwy dał się znowu słyszeć, lecz robota nie ustała. Wtedy panowie Morin i Périères bez namysłu podskoczyli o kilkanaście metrów naprzód i zmierzywszy do zwierza dali ognia. Słoń pracujący trąbą, padł jak piorunem rażony. Dostał w samo serce. Drugi, którego kły głęboko były wryte pod korzenie, siłą nadzwyczajną podniósł się, a drzewo zrobiwszy półkole w powietrzu runęło na ziemię. Rozjuszone zwierzę z trąbą podniesioną podbiegło do wierzchołka drzewa, wydobyło z pomiędzy gałęzi nieszczęśliwego i zmiażdżyło go pod nogami. Potem zwrócił się do stojących panów Morin i Périères, którzy usunęli się w bok, śledząc ruch nieprzyjaciela, by chwycić stosowną chwilę do strzału. Ja z jednym Arabem podsunęliśmy się także do nich zostawiając pana Delange z drugim Arabem i Murzynami przy paniach. Zwierzę stało czas jakiś mierząc siłę nieprzyjaciela. Z jego ran krew sączyła się i uszy podziórawione wisiały bezwładnie. Tylko trąba była nietknięta, gdyż wywijał nią na wszystkie strony i szorował po ranach, jak gdyby chciał uśmierzyć boleść. Nareszcie z rykiem strasznym rzucił się naprzód. Wtedy wysłaliśmy mu znowu cztery kule. Stanął. Zdawało się, że zachwiał się nieco, potem zaczął zbliżać się znowu. Straszny był, idąc tak spokojnie napozór. Chwyciliśmy równocześnie za noże, choć walka podobna nie ratowała nas od śmierci. Straszny nieprzyjaciel już był od nas na jakie czterdzieści kroków, gdy w tej chwili trafiony z góry kulą pana Delange w samą czaszkę pomiędzy uszy, zwalił się tuż przy nas na ziemię, która formalnie zadrżała pod nogami naszemi. Z upadkiem słonia wyrwały się z ust dwóch pań okrzyki radości. Spojrzeliśmy w górę i zobaczyliśmy na niewielkiem drzewie siedzącego pana Delange, którego celny strzał wybawił nas od niechybnej śmierci. Gdyśmy się zebrali razem, przez chwilę panowało milczenie. Wreszcie pani Guéran wybuchła spazmatycznym płaczem zmięszanym ze śmiechem. Miss Poles rzuciła się na szyję pana Delange i zaczęła go ściskać z radości, wreszcie i my zaczęliśmy się całować nawzajem, winszować sobie tak szczęśliwego wyjścia z opałów. Pan Morin całując rękę uspokojonej nieco pani Gueran, oświadczył jej, że choć towarzystwo pań jest im bardzo miłe, na podobną wycieczkę jednak już ich więcej nie weźmie.

Tłómaczył S. B.

Jacenty Replika

poemat wesoły w dziesięciu pieśniach.

Napisał

Teodor Nałęcz (Smolarz).

(Ciąg dalszy).

Najprzód szedł żandarm z bagnetem na gwerze,
Za nim dwunastu złodzieji parami,
Jak gdyby bractwo, klepiące pacierze;
Potem oszuści szli z rozbójnikami,
Jak gdyby zakon, a za nimi kroki,
Stawiał poważne, naczelnik sądowy,
Jak gdyby biskup, prowadzący zwłoki.
Przy nim szedł adjunkt, niósł kodeks handlowy,
Jak przy proboszczu śpiewnik organista —
Szedł i praktykant z piórem, kałamarzem,
Dwóch kerkermeistrów, jeden dyurnista,
I hipoteczny rejent wraz z pisarzem.
Wreszcie szli woźni w mundurach parami,
Jak muzykanci żałobnej kapeli,
Zaraz za nimi, niosło stół z zwłokami,
Czterech oszustów i dwóch gwałcicieli.
Wspaniale leżał Jacenty na stole,
Gdyby go widział człowiek krótkozwroki,
Rzekłby, że niosą z wawrzynem na czole,
Na zimnej tarczy, Rzymianina zwłoki.
Zaraz za stołem, jak płaczu bogini,
Szła biedna żona, potem trzech lichwiarzy,
Sześciu pijaków i dzieciobójczyni,
I setki innych przeróżnych zbrodniarzy.
Pochód ten godny, pomysłu Makarta,
Kończyło wreszcie znacznie obszarpanych,
Jak gdyby jaka honorowa warta,
Dwudziestu czterech włóczęgów skazanych.
Gdy wszyscy przeszli, szła jeszcze staruszka,
Wina jej wielka i kara niemała,
Rewizorowi małego cieluszka,
W kataster bydła wpisać nie kazała!
W domu, do łóżka ciało położono,
Przybyły lekarz życia nie przysporzył,
Lecz, gdy zażądał, by za to płacono,
Jacenty oczy jeszcze raz otworzył.
Jęczał, jak tytan śmiertelnie raniony,
Jak zimna burza, gdy morzem owładnie,
Jakby ognisty wulkan rozwścieklony,
Lub prokurator, gdy sprawa przepadnie.
Na twarzy jego bladość zajaśniała
I pot śmiertelny zwilżył jego włosy,
I dusza jego, jakby kula z działa,
Z zimnego cielska uciekła w niebiosy.
Słowik w gaiku smutną pieśń zanucił,
Słońce zmartwione zaszło za górami.
Tak było dziwno, jakby świat się smucił,
Jakby zapłakać chciał rzewnemi łzami.
Czuł świat, że drugi Sokrates się zjawi,
Drugi Mahomet w ludzi stanie rzędzie,
Drugi się Solon prawodawstwem wsławi,
Ale drugiego Repliki nie będzie!
Kto chce, niech płacze; ja pieśń kończyć muszę,
Ale, że w pieśni jeszcze wierszy mało,
Więc odprowadzam Jacentego duszę,
Byście wiedzieli, co się dalej stało!
(Tu jeszcze w klamrze oznajmiam wam o tem,
Że Jacentowa pensyi dostała
Pięć całych koron i to płatnych złotem.
Emerytura dla wdów nie wspaniała,
A to z tej racji, że głodna, jak glista,
Wdowa czemprędzej znów za mąż wychodzi,
A zatem państwo nie mało korzysta;
A wdowa jeszcze rekrutów mu rodzi —
Lecz cicho, gorzej może być, mój bracie,
Wszak gdzieś tam wdowy palą; zawnioskować
Przyjaciel Kaunic gotów jest w rajchsracie,
Paleniem sprawę pensyj zregulować).
W czapie baraniej, z parasolem w ręku,
I w prześcieradle, po gwiaździstej drodze,
Mlecznej nazwaną, kroczył pełen wdzięku,
Zacny Jacenty, jak Rzymianin w todze,
A że być nie mógł na własnym pogrzebie
I słyszeć księży śpiewu żałosnego,
By siebie uczcić, sam świstał dla siebie,
Szopenowskiego marsza żałobnego.
Po długiej drodze wszedł na plac szeroki,
Długi, jak nasze Sukiennice całe,
W około placu wisiały obłoki,
Szare, różowe, niebieskie i białe.
Ujrzał trzy bramy: do niebiosów złota,
Srebrna do czyśca, do piekieł z kamienia.
Gdzie się ma udać? w które pukać wrota?
Jacenty nie miał i chwili wątpienia.
Odważnie kroczył, do niebios zapukał.
„Hej tam otworzyć!“ — wołał — „idzie dusza!“
Nikt nie otworzył, a więc silniej stukał:
„Otworzyć prędko!“ nic się nie porusza,
„Cóż to, czy śpicie?“ krzyczał, hałasował,
I w złotą bramę uderzał pięściami.
„Piękny porządek, długoż będzie?“ wołał,
I długo czekał, jak lokaj za drzwiami;
Nareszcie niebios brama się otwiera,
Zjawia się postać, a twarz jej zaspana,
Ziewa i oczy rękoma przeciera.
Jacenty poznał zaspanego pana.
„Serwus Jowiszu!“ rzecze. Ten się złości
I mówi: „Cóż to? ty do niebios pukasz,
Jakby do szynku? zbudzisz jegomości,
Co śpią w najlepsze. Chyba guza szukasz?
Spałem, jak kamień, a tu, patrzcie, proszę,
Taki łapserdak, gwałtem się dobywa!
Słyszę gwałt wielki, budzę się, bo wnoszę,
Że to król jaki, lub biskup przybywa!
Tfu, taka dusza. Służba, zaraz wsadzić,
Tę chudą duszę do piekielnej dziury,
I przed sędziego jutro doprowadzić —
Przedtem dać trochę skosztować tortury!“
Tak wyrzekł Jowisz, srodze rozgniewany.
Djabli pod ręce wzięli Jacentego,
Grzecznie i ładnie, jakby policjany,
Zaprowadzili do piekła strasznego.
W piekle okropne wrzaski, krzyki, jęki,
Czuć smołę, siarkę, zapach brzydkiej pleśni,
A jakie dusze muszą cierpieć męki,
Wszystko w dziewiątej opisałem pieśni.

(Ciąg dalszy nastąpi)

HUMOR.

— Powiadam ci, że małe mam wyobrażenie o naszych profesorach.

— To wiadome, przecież przy egzaminach zupełnie prawie nie uznawałeś ich za godnych odpowiedzi.

— Cóżto pan dobrodziej znów chory?

— A tak, krzyż mnie boli.

— Oho, musiałeś pan znów lokatorom podnosić komorne, toś się podźwigał.

Są ludzie, którzy 13 boją się jak ognia, i za żadne skarby świata, ani nie mieszkaliby w domu pod l. 13, ani nie jechaliby dorożką tym numerem opatrzoną. Znakomity dramaturg francuski, Sardou, także utrzymuje, że 13 jest fatalna. „Przypominam sobie dokładnie opowiada on, że w r. 1843, byłem na objedzie z Durandem i kilkoma innymi przyjaciółmi. Nagle, wśród jedzenia Durand zawołał, że jest nas trzynastu. Spojrzeliśmy na niego. Był blady jak trup i bełkotał: „To jest zapowiedzią mojej śmierci“. — I cóż się stało? — zapytał ktoś pana Sardou. — Właśnie umarł mój stary przyjaciel! — odrzekł dramaturg. — Dobrze, lecz co tu ma trzynastka do czynienia, skoro Durand nie umarł w r. 1843, tylko dopiero teraz? — Otóż w tym właśnie cała prawda spoczywa — odparł Sardou, nadzwyczaj poważnie. — Działo się to w r. 1843, od tego więc czasu upłynęło 52 lat, t. j. cztery razy 13“.

OSTATNIA POCZTA.

W sprawie pobytu ks. Łobanowa w Berlinie wywodzi *Temps*, że podróż jego ma znaczenie polityczne tylko o tyle, o ile jest usiłowanem przyłączenie się Rosji i Francji do trójprzymierza odnośnie do akcji, jaką mocarstwa przedsięwzięły w Konstantynopolu w sprawie armeńskiej. *Temps* pisze, że żałowałby tego, a wolałby raczej różnorzędną akcję trójprzymierza z Francją i Rosją według zasady: „Maszerować osobno, bić razem“. Podwójna akcja byłaby, zdaniem *Temps*, pożyteczniejszą, niż wspólna.

Cesarstwo niemieccy zwidzali pobojowiska koło Metzu, a między innemi także pobojowisko pod Gravelotte.

Do *Polit. Corresp.* donoszą z Konstantynopola: Najważniejsze punkty memorjału, jaki przywódcy opozycji na Krecie postanowili wręczyć mocarstwom, podpisanym na traktacie berlińskim, są następujące: Dla wyspy ma być ustanowiony rejent grecko-wschodniego wyznania, któryby posiadał prawo sankcji uchwał ciała prawodawczego i prawo potwierdzania wyroków śmierci. Rejent ma być wybieranym na lat 5 i ma wykonywać swe funkcje pod gwarancją mocarstw. Wysokość daniny Krety na rzecz Porty ustanawia się na 15.000 funtów rocznie. W obwarowanych miejscowościach wyspy nie wolno rządowi tureckiemu utrzymywać większej siły zbrojnej, niż 4000 ludzi, który to kontyngent tylko w razie napadu z zewnątrz powiększonym być może. Memorjał wręczono już reprezentantom dyplomatycznym mocarstw, nie wszyscy jednak przyjęli go jeszcze. Jeneralny gubernator Karatheodori-basza, wyraził tym dyplomatycznym pełnomocnikom, którzy odmówili przyjęcia pisma, swoje podziękowanie.

Daily News donoszą z Konstantynopola, że w miejscowości Akhissar, odległej o 120 mil od Konstantynopola, pospólstwo napadło na Armeńczyków, przyczem 50 ludzi zostało zabitych a wielu ranionych. Targowicę zrabowano.

Według doniesienia pism wiedeńskich, ma być w budżecie na r. 1896 wstawioną już pozycja na pokrycie kosztów ministerstwa komunikacji.

Minister Biliński rozporządził, aby kupony papierów państwowych, płatne w dniu 1 listopada r. b., już teraz były wypłacane, a to w celu zaradzenia brakowi gotówki na rynku wiedeńskim.

Rumuński gabinet podał się do dymisji. Demetrjusz Sturdza został powołany do pałacu królewskiego. Prawdopodobnie będzie utworzony gabinet narodowo-liberalny.

W niedzielę i poniedziałek odbywały się konferencje ambasadorów Anglji, Francji i Rosji, z Saidem paszą, ministrem spraw zagranicznych. Tyczyły się one zaprowadzenia reform w Armenji. Jest prawdopodobieństwo, że rząd turecki ustąpi na wszystkich punktach.

Spokój panuje w Konstantynopolu. Policja i żandarmerja zachowują się przyzwoicie i z taktem. Pomimo tego, kilku Armeńczyków schroniło się znowu do kościołów. Sklepy armeńskie zostały na nowo pootwierane.

Jak donosi *Standard* z Konstantynopola, będzie ustanowioną komisja, która ma się zająć przeszukaniem więzień i uwolnić wszystkich Armeńczyków, zamięszanych w ostatnie rozruchy. Do tej komisji będą należeli także chrześcijanie.

Rząd angielski, poparty przez Francję i Rosję, ma zażądać kategorycznie, aby projekt reform dla Armenji, przyjęła Turcja bez żadnych zmian.

Korespondent *Nationalzeitung* pisze z Konstantynopola, pod dniem 10 października: „Komitet armeński wywiera tutaj taki teroryzm, iż potrzeba olbrzymiego wysiłku rządu, aby go poskromić. Armeńczycy obawiają się daleko więcej komitetu, niż Turków. On im kazał pozamykać sklepy i składy. On nakłada podatki i wyznacza wysokie kary na tych, którzy nie słuchają jego rozkazów. Z drugiej strony, rząd turecki więcej się obawia własnych ziomków, niż Armeńczyków. Rozlepiona odezwa turecka, mówi jasno o związku tajemnym, żądającym konstytucji i nadania jednakowych praw Mahometanom i Chrześcijanom. Do tego związku ma należeć inteligencja, oficerowie, nawet duchowni.

Times donosi z Odesy, że na Kaukazie panuje wielki ruch w sferach wojskowych. Codziennie przybywają ogromne transporty amunicji, a kilkanaście pułków piechoty i kawalerji, otrzymało rozkaz posunięcia się ku granicy tureckiej.

Londyński *Foreign-Office*. nic nie wie o ostrzeliwaniu miasta Zabara. *Gazeta kolońska* widocznie się pomyliła i wzięła Zabarę za miejscowość Jubaha, rzeczywiście ostrzeliwaną przez flotę angielską, ale jeszcze w połowie września. Jubaha leży w pobliżu wyspy Bahreim, naprzeciwko Zabary.

Gladstone zachorował i lekarze nie kazali mu opuszczać pokoju. We wtorek, nastąpiło jednak pewne polepszenie.

Telegramy
własne „*Głosu Narodu*“.

Wiedeń 17 października (rano). Poseł austro-węgierski przy dworze rumuńskim, hr. Welserheimb, został mianowany pierwszym szefem sekcyjnym w ministerstwie zagranicznem. Według jednozgodnych wiadomości z różnych stron, lada dzień nastąpi zniesienie stanu oblężenia w Pradze.

Zagrzeb 17 października (rano). Jakkolwiek awantury uliczne ucichły, ich echo odezwało się donośnie w zachowaniu się samego monarchy. I tak naczelnik policji, Zorac, nie otrzymał żadnego wyszczególnienia, gdy przeciwnie koncepista policyjny, dr Jovanowicz, dostał szpilkę brylantową, ozdobioną szafirami. W piśmie odręcznem do bana, nazywa cesarz znane awantury wypadkiem karygodnym.

Carmaux 17 października (rano). Sprawca zamachu na Ressegniera, kolporter dzienników socjalistycznych, Guihem, został aresztowany.

Konstantynopol 17 października (rano). Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że wypracowany przez mocarstwa projekt reform, sułtan przyjmie bez zastrzeżeń. (Nie pozostaje mu nic innego do uczynienia. *Przyp. Red.*).

Wiedeń 16 października (w połud.) *Nowa Presse* zapewnia, że ministrem dla Galicji zostanie dr Bittner. (Donosiliśmy o tem przed miesiącem. *Przyp. Red.*)

Kolonja 16 października (w południe). O bombardowaniu Zabara donoszą tu, że stało się to dlatego, ponieważ Turcy aresztowali łódź angielską i nie chcieli jej puścić. Anglicy zaczęli tedy strzelać do miasta, w skutek czego nastąpiło uwolnienie owej łodzi.

Bukareszt 16 października (w południe). Policja bułgarska miała nabrać przekonania, że mordercami Stambułowa byli: Tufekcziew i pewien Macedończyk, ukrywający się teraz w Rumunji.

Berlin 16 października (w połud.) Dnia 27 b. m., jako w rocznicę kapitulacji Metzu, odbędzie się tu wielki bankiet, na którym ma być także cesarz Wilhelm.

Paryż 16 października (w połud.) Hr. Mohrenheim, ambasador rosyjski, złożył prezydentowi w imieniu cara gratulacje, z powodu zajęcia Tananarivy.

Petersburg 16 października (w południe). *Ruski Inwalid* ogłasza ukaz o formowaniu lotnego parku artylerji dla wschodnio-syberyjskich okolic.

Trebizonda 16 października (w południe). Na pokładzie rosyjskiego okrętu „Agew“ znajduje się 2000 Armeńczyków, którzy skryli się przed mordem.

Londyn 15 października (w połudn.). Z Hong-Kong donoszą, że wskutek energicznego ultimatum, wysłanego przez angielskiego admirała do wicekróla z Fu-Kien, będzie znów straconych 18 takich zbrodniarzy, którym udowodniono, że mordowali chrześcijan w Ku czeng. Z Jokohamy telegrafują, że mikado nie pozwala udawać się Japończykom do Korei, bez specjalnego pasportu.

Belgrad 16 października. W okolicach górzystych spadły znaczne śniegi.

Petersburg 16 października. Banki brukselskie, z udziałem niektórych banków paryskich i petersburskich, otwierają rosyjski bank przemysłowy, którego centrem działalności będzie Charków.

Petersburg 16 października. Do *Now. Wremja* telegrafują z Władywostoku doniesienie z Pekinu, że ruchy mahometańskie w prowincjach północno-zachodnich, rozszerzają się, ogniskiem powstania jest prowincja Kansu, dokąd wysłano 25 bataljonów. Li-Hung-Czang, z rozkazu cesarza chińskiego, udaje się do Kansu, w charakterze komisarza nadzwyczajnego.

Batum 16 października. Młody Armeńczyk, wtargnąwszy do meczetu tureckiego, począł miotać obelgi. Turcy pochwycili go i oddali policji. Z Trebizondą komunikacja przerwana.

Werona 16 października. Trzęsienie ziemi nawiedziło całą prowincję werońską. Na Monte Baldo zauważono oznaki erupcji wulkanicznej.

Madryt 16 października. W Kadyksie wybuchły poważne zaburzenia. Tłum usiłował rozpędzić procesję przeciągającą przez miasto. Żandarmerja przywróciła porządek. Kilka osób raniono.

Bruksella 16 października. Bunt Murzynów w Kongu szerzy się. Zabili oni 60 żołnierzy i zrabowali im 300 karabinów.

Wiedeń 17 października. Po zamknięciu giełdy: Kredyty 399·87 Laenderbank 282 50, Staatsbahn 393 50, Lombardy 112·50

Gospodarstwo i handel.

Stacja Rogóżno położona na szlaku Kraków-Lwów i otwarta dotychczas tylko dla ruchu osobowego, pakunkowego, towarowego, pospiesznego i zwykłego w ładugach całowozowych, została otwartą z dniem 15 października b. r. dla nieograniczonego ruchu ogólnego.

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu

Kraków 15 października.

W obec zwiększonej konkurencji pomiędzy sprzedającymi, powstałej skutkiem zwiększenia dowozów, tendencja dzisiejszego targu, była cokolwiek słabsza, tak, że ceny niezupełnie zdołały się utrzymać. Różnice w cenach pszenicy i żyta są jednak bardzo małe, a znaczniejszego spadku doznał jedynie jęczmień.

Płacono nową pszenicę: białą 7·40 do 7·70; czerwoną 7·30 do 7·55 złr.; żółtą 7·30 do 7·55 złr.; żyto nowe 6·35 do 6·60 złr.; jęczmień browarny 6·80 do 7 25 zł.; na paszę 5·60 do 6·— złr.; owies stary 5·60 do 6·10 złr.; wykę —·— do —·— złr.; rzepak 9·20 do 9·30 złr. Wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

Odpowiedzi Redakcji.

Przygodnemu korespondentowi w Stanisławowie. Umieścilibyśmy chętnie, ale sprawozdanie musiałoby być więcej rzeczowe i poważniejsze.

Wpan Józef Gorczyński, Nowe Dwory p. Brzeźnica. Tak jest, tylko omyłka druku.

Szanowne Towarzystwo Jana Kilińskiego we Lwowie. Nie otrzymując od nikogo subwencji, a mając prócz tego do zwalczenia niemało trudności, nie możemy nikomu dawać numeru bezpłatnego, a już najmniej stowarzyszeniom, których członkowie powinniby przecież składać po kilka centów miesięcznie na prenumeratę dzienników.

KURSA TELEGRAFICZNE.

Wiedeń 16 października — 2 godz. 30 minut po poł

	złr. ct.		złr. ct.
Renta austr. papier opod.	100 50	Anglobank	177 —
srebrna	100 90	Union	350 50
4% złota	121 50	Bankverein	169 —
4% koronowa	101 20	Akcje Länderbank	282 —
Akcje bank. aust.-w.	1056	„ kol. Kar. Lud.	222 25
„ kredytowe	399 60	„ „ lwowsko-czerniow.	310 —
Londyn	120 30	„ „ połudn.	112 —
Napoleony	9 54½	Elbenthal	279 25
Dukaty	5 69	Nordbahn	3500
Marki	58 85	Staatsbahn	393 12
4% Renta węg. kor.	99 10	Alpin	100 80
4% „ „ złota	120 85	Akcje tytoniowe	232 —
Losy prem. węg	161 --	Ruble	129 75
Losy tureckie	73 10		

Berlin 16 października.

Banknoty austr.	169 75	4% Listy likw. pols.	68 70
Krótki Wiedeń	169 50	Renta włoska	88 37
Banknoty ros.	220 90	Akcj. austr. kred.	249 75
Listy zast. pols.	219 60	Ultimo Ruble	220 60

(Rubryka „Nadesłane“ nie pochodzi od Redakcji, która też za nią odpowiedzialności nie przyjmuje).

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie. Redaktor odpowiedzialny Adolf Nowak.